# ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Stycznia | Nr 4. | Roku 1842.

## FAWORYT.

»Panie kapitanie!« zawołał ułan odchyliwszy zwolna drzwi do pokoju, w którym leżały na krzesłach mantelzak, szabla, czako i para pistoletów.

»Co powiész Szymonie?« zapytał kapitan, pisaniem listu zajęty.

»Co powiém? Nic więcéj, jak tylko to, że nasz pułk bez pana kapitana już w pochód wyruszył.«

»Powiédz panu majorowi, że niebawem za nim pospieszę.«

»Bardzo dobrze!« — To rzekłszy Szymon, podniósł prawę rękę do czaka, poczém znowu tak zwolna przymknął drzwi, jak je był odchylił.

»Kochana matko«, pisał młody oficer, »pułk nasz otrzymał właśnie rozkaz wyruszenia w pole. Gdy ten list otrzymasz, już będziemy za Niemnem. Wojna teraźniejsza rozpoczyna się pod najszczęśliwszą wróżbą; armija nasza ma liczyć przeszło 500,000 ludzi! Chciéjto zważyć kochana matko: 500,000 ludzi, a cesarz jest na ich czele! O, ileżto świetnych zwycięztw możemy być pewni! Wojna jestto najpiękniejsze zatrudnienie — a nasi ułani, coto za dziarskie wiarusy, — ogień błyska im z oczu; za chwilę dosiędę mego dzielnego faworyta, który już na głos trąby rży i grzebie kopytem z niecierpliwości. Tak, kochana matko, chlubić się będziesz twoim synem. W piérwszéj bitwie, mam w Bogu nadzieję, iż sobie zasłużę krzyż legii honorowéj, i stanę się godnym imienia ś. p. ojca mojego! Po skończonéj wyprawie wrócę do ciebie kochana matko, będę żył dla ciebie, przy tobie, abym ci osłodził wszystkie troski i niepokoje, którem ci sprawił!... Bądź zdrowa kochana matko, módl się a nie płacz za mną! Bogu cię oddaję! *Adieu, adieu!*«

Skończywszy, oparł głowę na ręce i siedział jeszcze chwilkę na miejscu; poczém otarł sobie łzę z oka, zapieczętował list, podpisał i przywołał Szymona.

Ułan czekał w przed-pokoju.

»Ależto było co widziéć panie kapitanie, gdy nasz pułk z miasta wychodził«, rzekł Szymon pakując mantelzak i pistolety, a pan jego tymczasem szablę do boku sobie przypasywał. »Co tylko żyło, wyszło patrzyć na naszych tęgich chłopców! Pełno w oknach, pełno na ulicy, zewsząd widać było powiéwające chustki, które nasze stare, postrzélane chorągwie salutowały. A kobiéty, kobiéty, co tam było płaczu! Ręczę panu kapitanowi, szósty pułk ułanów może się pochlubić, że nie jednéj pięknéj dziéwczynie głowę zawrócił!« — To mówiąc, muskał Szymon po swoich długich wąsach, i widać było zadowolenie w jego pokiereszowanéj, ospowatéj twarzy.

Kapitan roześmiał się na próżność szeregowca, który nie miał bynajmniéj zalet do podbicia serc kobiet.

Gdy młody oficer obrachował się z gospodynią, wręczył jéj list i prosił, aby go pewnie i niezwłocznie na pocztę oddała.

»Szczęśliwéj podróży, panie kapitanie, szczęśliwéj podróży panie oficerze!« zawołało, co tylko żyło w oberzy.

Kapitan przypuścił konia, a Szymon za nim! Już dawno obadwaj zniknęli z oczu, gdy gospodyni stojąca na progu swego domu, jeszcze patrzyła za nimi. »Biédny chłopiec«, rzekła z westchnieniem sama do siebie, »może nawet jeszcze dwudziestu-pięciu

lat nie liczy; smukły jak topola; prawda, że trochę opalony z częstéj egzecérki pod gołém niebem; ale tém ładniéj wydają się te błękitne oczy jego i te kędzierzawe blond włosy; a gdy sobie pomyślę, że ta biała rączka jedzie ludzi zabijać!... Aż się serce kraje!—Napisał list do matki«, rzekła daléj, przypatrując się napisowi. »Biédna matka, niech ją Bóg pociesza!«

Z głębokiém westchnieniem poszła gospodyni, oddać własną ręką list na pocztę.

Kapitan zwolnił koniowi; wysilać go nie miał potrzeby, wiedział dobrze, że w najbliższéj stacyi pułk swój zastanie; dla tego jechał wolno gościńcem. Szymon jadąc za nim w oddaleniu o kilka kroków, dymił gęstym kłębem z fajki. Zaledwie przez najpiękniejszą okolicę milę ujechali, gdy piękny dwór z pałacykiem, tuż przy gościńcu stojącym, zwrócił uwagę oficera i wyrwał go z dumania.

»Jakiś majętny mieszka w tym domu! O, gdybym taką miał posiadłość«, pomyślił sobie, »jakżebym uszczęśliwił moję matkę, która na małém, bardzo małém przestawać musi! Prawda, że dla siebie szukam sławy; ale majątek chciałbym miéć jedynie dla mojéj zacnéj matki! Dobrato rzecz, że przy cesarzu jednego i drugiego nabyć można! Ojciec mój poświęcił się krajowi, stracił wszystek majątek, tylko nam zasługę i dobre imię w puściznę zostawił, ale to wszystko w niepamięć idzie!«

W chwili, gdy się w takich lub podobnych myślach zatapiał oficer, obił się nagle z domu, po przed którego drzwi właśnie wolnym krokiem przejeżdżał, przeraźliwy krzyk o jego uszy. Wstrzymawszy konia, rzekł do służącego: »Szymonie, czy słyszałeś?«

»Słyszałem kapitanie.«

»Mnie się zdaje, że to był głos młodéj dziéwczyny?«

»Tak jest kapitanie, *młodéj*, znam się na tém!«

»Może jakie nieszczęście«, rzekł oficer.

»Tak się po głosie zdawało.«

»Sprobuję i zastukam«, odrzekł Szymon.

W czasie gdy Szymon zsiadł z konia i szedł ku progowi, aby zadzwonił lub zakołatał, oficer objechał cwałem w około domu, który był żywym płotem otoczony; przesadził płot bez namysłu i ujrzał się we środku obszérnego dziedzińca. Spieszno zsiadł z konia, otworzył drzwi w przedsionku i wszedł do sali, gdzie jeszcze na stole szczątki śniadania stały. Tam zastał mężczyznę już w wieku, który paraliżem tknięty, bez przytomności zmysłów, na ziemi leżał. Młoda dziéwczyna podpiérała mu głowę i całując go w czoło, zaléwała się łzami. »Ojcze«, wołała, »ach, ojcze! O przenajświętszy Boże, wróć mi ojca!« W czasie gdy dziéwczyna załamując ręce, z rozpaczą ku niebu poziérała, gdy słudzy straciwszy głowę, z kąta w kąt biegali, nie wiedząc, jakby w tym przypadku zaradzić i co począć; kapitan stojąc niewidziany we drzwiach, zrozumiawszy o co chodzi, wybiegł co duchu na dziedziniec, dosiadł konia, przesadził przez płot znowu i przywoławszy śpieszno Szymona, rzekł: »Jedź do pułku, ja wkrótce za tobą przybędę!« To rzekłszy, spiął ostrogami konia, i poleciał jak strzała w odwrót ku miastu, które przed godziną był opuścił.

Szymon stanął jak słup z otwartą gębą, a potém wstrząsnąwszy głową, powtórzył słowa swego pana: »Wkrótce za tobą przybędę!—ani wątpię panie kapitanie, jeźli karku nie złamiesz! a to mi poleciał! Biédne konisko! Zapewne jest coś bardzo nagłego...« Smutny i zniechęcony Szymon przytłoczył palcem tytoń w fajce, dosiadł szkapy, i puścił się za pułkiem.

Kapitan stanął wkrótce z powrotem w mieście, a skoro się do piérwszych domów zbliżył, natychmiast w głos zawołał: »Gdzie tu chirurg mieszka?«

»Tam panie oficer, tam«, odezwał się chłopiec ubogi z czarnémi oczyma, i wskazał mu biały dom, oraz puścił się sam obok cwałującego konia; a gdy kapitan zsiadł przed domem, chłopiec uchwycił za tręzle i potrzymał mu konia. Niebawem otworzyły się wrota podwórza, a chirurg już był na koniu; oficer rzuciwszy chłopcu talarka, pognał z chirurgiem ile koniom sił starczyło!

»Dzięki ci, dzięki panie oficerze, panie jenerale, złoty dobrodzieju mój, niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi!« podrzucając i łapiąc w powietrzu talarka, wołał chłopiec za oficerem.

Obadwaj jeźdcy gnali czwałem jeden obok drugiego w milczeniu. »Otóż tam!« rzekł nakoniec młody oficer, wskazując z daleka na porządny dwór wiejski.

»Ach, mój Boże, to jest dom pana G.... mojego przyjaciela! Oby tylko nie było już za późno; jestto bardzo zacny, poczciwy obywatel!« — Téjże samej chwili otworzono bramę dziedzińca, a pokojowiec wyszedł na przeciw nich.

»Właśnie miałem jechać po pana doktora«, rzekł strwożony; »proszę tędy, tędy; jakby niebo pana zesłało!«

Obadwaj jezdcy pozsiadali czémprędzéj z koni okrytych kurzem i potem, i poszli za pokojowcem.

Pan domu leżał rozciągnięty na łóżku; córka jego ani płakać ani modlić się nie była w stanie, — milcząc w ciężkiéj rozpaczy, nacierała mu twarz wonnym spirytusem. Ujrzawszy niespodzianie lékarza, wydała krzyk radosny i padłszy na kolana, błagała go ze złożonémi rękami, aby ratował ojca.

W sali, która przed chwilą była widownią okropnéj rozpaczy, nastało wkrótce głębokie milczenie; wszyscy obecni przejęci obawą i nadzieją, zaledwie oddychać śmieli.

Młody oficer podniósł otrętwiałą rękę pana G...., lékarz przyłożył puszczadło — a strumień czarnéj krwi bryznął w twarz młodéj dziewicy.

Nagle zaszumiało jéj w uszach, uczuła zimny pot na czole i wyrzekłszy: »Dzięki ci Boże, ojciec mój żyć będzie!« padła na ziemię omdlała.

Jednakże przy pomocy lékarza nie długo zostawała w tym stanie, wkrótce odzyskała zmysły i z czułością patrzyła jak ojciec jéj do siebie przychodzić zaczął. Blada i drżąca z przestrachu, którego doznała, przystąpiła do gości i uścisnęła serdecznie rękę lékarza i kapitana: »Zacny panie Guichard«, rzekła do piérwszego, »powiédzże mi, jakimżeto szczęśliwym przypadkiem przybyłeś tak śpiesznie w pomoc ojcu mojemu?«

»Panno Heleno«, odrzekł lékarz, »nie przypadkowi winnaś ocalenie swojego ojca, ale temu zacnemu, młodemu oficerowi, który jadąc z miasta do swego pułku, usłyszał twoje wołanie o pomoc, i ujrzawszy ojca twego w niebezpieczeństwie, natychmiast po mnie do miasta na powrót pogonił.« — Na te słowa Helena zaczerwieniła się i znowu zbladła; łzy rzuciły się jéj z oczu. »Ach, mój panie«, rzekła, »jakże się wywdzięczyć zdołam; wpan ocaliłeś życie ojcu mojemu!«

»A ja«, dodał lékarz, naléwając kapitanowi śklankę wina, »winienem mu wdzięczność za ocalenie przyjaciela mojego; śmierć jego byłaby mnie ciężko zasmuciła; gdybyśmy się byli tylko o pięć minut spóźnili, wszystko byłoby już za późno!«

Téjże chwili wszedł do pokoju służący i doniósł pocichu swojéj pani, że koń kapitana ze zbytecznego zgrzania się, po którém zaraz nastąpiło oziębienie, zachorował i ochromiał. Córka pana G.... wydała natychmiast stajennemu rozkaz i wróciła do gości, którzy się już do podróży zabiérali. Serdecznie uściskał lékarz powtórnie młodego przyjaciela i rzekł na pół przytłumionym głosem: »Do zobaczenia się kapitanie! Jedź, dokąd cię los i sława prowadzi; lecz pamiętaj, aby cię duma twego cesarza za daleko nie uniosła!«

»Bądź przekonany, mości doktorze«, odrzekł oficer, »że nam przewodniczy gwiazda szczęścia cesarza naszego.«

»Ha, nu! kto doczeka, ten się przekona«; odrzekł doktor smutno wstrząsając głową.

Im bardziéj zbliżała się chwila odjazdu, tém posępniejszą i bledszą na twarzy stawała się Helena. Człowiek, ku któremu tak wielką czuła wdzięczność, nie był jeszcze dla niéj niczém innem, jak tylko nieznajomym... ale przez posługę swoję już drogim; a ten człowiek miał się z nią może już na zawsze rozstać!

»Panie kapitanie«, rzekła do niego drżącym głosem, »gdy będę zasyłała modły do Boga za oręż naszych braci, jakże mam nazwać tego, któremu ocalenie mojego ojca winna jestem?«

Młody oficer podziękowawszy, wręczył jéj kartę z swojém nazwiskiem.

Wtém dało się słyszeć rżenie konia.

»Koń cię wzywa panie kapitanie«, rzekł doktor, »tęskni za swémi towarzyszami.«

»O, nie, to nie jest rzenie mego faworyta«, odrzekł młody oficer.

»Ach, panie kapitanie«, rzekła Helena z smutkiem, »piękny wierzchowiec twój nie może teraz pełnić swéj służby. Musisz przyjąć w zamian konia z stajni ojca mego.«

Wiadomość ta zasmuciła kapitana; chciał pójść do stajni dla zobaczenia aby raz jeszcze wiernego towarzysza swoich przygód i trudów. Helena wstrzymała go. »Nie pomnażaj sobie i jemu żalu kapitanie«, rzekła; »ja będę miała o nim staranie. Przypatrz się temu pięknemu rumakowi, który już do ciebie należy«, to mówiąc, wskazała przez okno.—Stajenny wyprowadził na dziedziniec wiérzchowca Heleny, którego siodłem faworyta przyozdobiono.

»Patrz kapitanie«, rzekła dziéwica, »z jaką dumą na ciebie pogląda; jaki ogień błyska mu z oczu! Nazwij go, proszę, także swoim faworytem, i powróć z nim do nas po skończonéj wyprawie.«

»Przyrzekam«, rzekł oficer, położywszy rękę na sercu. Poczém dosiadłszy świéżego wiérzchowca, uścisnąwszy doktora rękę, i pożegnawszy po wojskowemu Helenę, zniknął w tumanie kurzu.—Helena dla zobaczenia go jeszcze w oddaleniu, wyszła na balkon pałacu, a gdy i tam z oczu jéj zniknął, łzawém okiem patrzyła w niebo i zasyłała głębokie westchnienia.—W kilka dni po tym wypadku, pan G..... oparty na ramieniu swéj córki, przechadzał się po ogrodzie, gdzie rozliczne krajowe i zagraniczne kwiaty, najprzyjemniejszą woń wyziéwały. Od czasu do czasu wymykało się z jego piersi westchnienie, a zmarszczone czoło jego zapowiadało, że czémeś zmartwiony. Helena nie śmiała wyrzéc ani słowa; nagle zatrzymał się na miejscu, i założywszy ręce, rzekł: »Jestto bardzo nieludzko.«

»Cóż takiego? ojcze?«

»Mówię ci, że to jest bardzo nieludzko! Czemuż nie przyprowadziłaś do mnie tego młodego oficera, któremu ocalenie życia mojego winien jestem?«

»Kochany ojcze, ty byłeś bardzo słaby.«

»Byłem bardzo słaby! jaka zimna wymówka! Czy on także tak ozięble rozważał, gdy się narażał na niebezpieczeństwo poniesienia od przełożonego kary i utracenia swego konia?«

Na te słowa zarumieniła się Helena i spuściła w dół oczy.

»Tyś mu konia za konia dała, i sądzisz, żeś tém wszystko już załatwiła. Ale ani wątpić, że on za nim mocno żałuje. Koń jego był przyzwyczajony do bitew, trudów i huku dział. Jeżeli więc twój koń, który ani błysku ognia ani huku znieść nie może, spłoszony, uniesie go, zrzuci, albo gdy z nim przed nieprzyjacielem umykać zacznie, i swemu jeźdzcowi honor odbierze!«

»Ach, ojcze«, zawołała Helena z płaczem, »to się nie stanie; mam nadzieję w Bogu, że tego młodego człowieka za piękny czyn jego tak nie wynagrodzi!«

»Pozwalam, przypuśćmy, że mu to wszystko na dobre wyjdzie; wszelako jestto zawsze dla mnie bolesno, żem nawet ręki memu wybawcy nie uścisnął. Być może, że się kiedy z nim zejdę, a nie znając go, nawet mu mojéj podzięki nie oświadczę.«

»Ja go znam, ja...« mówiła Helena podnosząc główkę.

»Znasz go, moje dziécię?« rzekł pan G.... uprzejmie i z tkliwością; »znasz go — no, to dobrze. Czemużeś mi tego piérwéj nie powiedziała?«

Helena wyjęła z zanadrza pugilares i dała ojcu jego kartę.

»Szczęsny Ż...., kapitan szóstego pułku Ułanów.—Wdowa pani Ż.... przy ulicy mostowéj numer 400.«

»A więc w tém mieście! dobrze. Pani ta jest bez wątpienia ubogą; wnoszę to z ulicy, przy któréj mieszka; spodziéwa się biédna powrotu swego syna. Córko, jeżeli kapitan Ż.... w téj wojnie polegnie, żądam po tobie, abyś ku téj zacnéj damie z taką czcią i przywiązaniem jak ku swéj matce była.«

»Jestto mojém życzeniem ojcze«, rzekła Helena bledniejąca na twarzy... »ale pocóż się tak smutnemi dręczyć myślami?«

»Prawdę mówisz, kochana córko! Widzisz, żem nie kontent z ciebie i — z samego siebie. Oprócz tego martwią mnie także teraźniejsze wypadki. Smutne przeczucia dręczą moję duszę: podobno gwiazda cesarza gasnąć już zaczyna. Życzyłbym już światu błogiego pokoju! — Czuję, żem słaby na duszy i na ciele—chciałbym rozegnać myśli smutne. Jak ci się zdaje, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy do stolicy pojechali?«

Zamiast odpowiedzi, rzuciła się córka w objęcie ojca, i oboje wrócili do pałacu, dla dania potrzebnych rozkazów do podróży.

* * *

Dnia 23go czerwca 1812 przeprawił się Napoleon w 500,000 ludzi przez Niemen i wkroczył w kraj rossyjski. Pułk, do którego nasz bohatér należał, koczował pod jodłowym lasem; straszny wicher szumiał pomiędzy wiérzchołkami drzew, a ulewna tucza lunęła strumieniem. Szymon spał jak zabity, a kapitan razem z faworytem leżał na miérzwie, którą dla niego na ziemi rozesłano. Atoli niespokój w duszy jego nie dał mu ani oka przymrużyć. Gdyż od Niemna aż do Wilii, nie pozostawiło wojsko francuzkie nic, jak tylko ślady spustoszenia; w skutek ustawicznych dészczów i niezmiernego natężenia padło 10,000 koni; zabrakło na żywności, a nieład i łupiez̈two, coraz się bardziéj wzmagał.

Wtém poddały się po kolei Witepsk, Smoleńsk, Wiazma; nastąpiła krwawa bitwa pod Moskwą, a dnia 14. września odbył Napoleon swój wjazd do drngiéj stolicy rossyjskiego państwa.

Jednakże buchające płomienie z gmachów Moskwy zapowiadały, że Francuzi tam się długo ostać nie mogą. Już dnia 18. października rozpoczęły odwrót wszystkie wojska francuzkie; mróz, głód, choroba i miecz nieprzyjaciela, wytępiły kilka tysięcy ludzi. Niezliczone trupy, skośniałe konie, połamane wozy i skrzynie z prochem, działa i amunicyja, wszystko to leżało porozrzucane na gościńcu, którędy wojska przeciągały!

»Kapitanie«, rzekł Szymon z głębokiém westchnieniem, »już daléj iść nie mogę; nie jestem stworzony na piechura... jużem z mego biédnego koniska, ostatnią zjadł pieczenię.—Kapitanie! to mi serce rozdziéra!«

»Uspokój się Szymonie«, odrzekł Szczęsny smutno, »wszak i ja jadłem mięso z twego konia. Inaczéj bylibyśmy z głodu pomarli i nie ujrzeli ojczyzny naszéj!« To mówiąc, ciągnął za sobą faworyta, który już zaledwie się na nogach trzymał.

»Panie kapitanie, ja nié mam już nikogo w ojczyźnie, coby oczekiwał powrotu mego! Daléj iść nie mogę; dla tego położę się tu w rowie i zasnę.«

»Ależ zginiesz Szymonie!«

Wszystko dla mnie jedno... Dosyć tego; śmierć jest dla mnie pożądana.«

»Szymonie, mój Szymonie! Bracie! toż już nie kochasz twojego kapitana? Ty, coś dla mnie na tyle niebezpieczeństw się narażał, któryś złe i dobre czasy razem ze mną podzielał, tyżto chcesz teraz w téj smutnéj doli, ze mną się rozłączyć?«

»Połączę się z moimi towarzyszami, którzy się właśnie przy tém ognisku spiąco na tamten świat przeprawili!« odrzekł przerywanym oddechem Szymon.

»Szymonie, proszę cię... rozkazuję ci.«

»Nie mogę—ja się przespać muszę, oczy mi się kléją, nogi łamią«, to mówiąc padł jak długi, i już nic nie mówił.

Szczęsny zjęty przestrachem, dobył szabli i uderzywszy płazem Szymona, zmusił go, że się dźwignął i znowu wlec zaczął. Od tego dnia był już rozkazom kapitana posłuszny. Obadwaj szukali dla siebie co wieczora jakiego przytułku dla odpoczynku, sypiali razem obok faworyta, a z-rana wychodził kapitan po jaką miérzwę lub słomę ze strzechy dla konia prędzéj, niżeli po chléb dla siebie.

Po niewypowiedzianych trudach dostało się nakoniec wojsko francuzkie nad Berezynę; w czasie, gdy jedna jego część przeprawiała się przez mosty śród najstraszniejszego natłoku, musiała druga staczać walkę z naciérającym zewsząd nieprzyjacielem. Kapitan zebrał około siebie garstkę żołniérzy wszelkiego gatunku broni. Szymon pojmawszy luźnego konia, walczył mężnie przy boku swego kapitana. Napastująca kupa kozaków, mężnie przyjęta, jak pył pierzchnęła, lecz Szczęsny ciężko ranionym został! Skwapliwie skoczył Szymon w pomoc kapitanowi, i obadwaj ile możności spieszyli przeprawić się przez most dla konnicy rzucony. Ale niestety! tu najokropniejsze panowało zamiészanie; tu tłoczył, pchał i ztrącał jeden drugiego w rzékę; jeździec walczył z piechotnikiem, podrzędny z oficerem; niewiasty, dzieci, ranni, wszystko w okropnym zamęcie i trwożnym nacisku! Zewsząd słychać było płacz, krzyk, jęk, ale nikt na to nie zważał, każdy pamiętał tylko o sobie.

»Bądź spokojnym kapitanie!« rzekł Szymon, »już ja ci utoruję drogę! Miejsce dla rannego oficera!«

»Nic nie pomoże kochany przyjacielu, nadaremnie się wysilasz; w takiéj chwili nié ma piérwszeństwa, wszystkie węzły zerwane, ocalenie życia, każdemu równém prawem.«

Kapitan odwrócił się od tego okropnego widoku i puścił się po nad brzég rzéki. Przybywszy wreszcie na miejsce, gdzie lód zdawał się być cokolwiek grubszy, kazał Szymonowi iść naprzód, a sam jechał za nim zwolna na swoim faworycie. Już myśleli obadwaj, że zostaną ocaleni!—Już byli nie daleko brzegu, aż oto razem lód się w koło załamał, i już woda ich niosła! Szymon wpław się puścił, a faworyt zimnym prądem rzéki przejęty, już na siłach upadać zaczynał. »Tylko jeszcze chwilę trzymaj się kapitanie!« zawołał Szymon, płynąc przodem i chwytając się brzegu rękami—»rzuć tylko do mnie cugle faworyta.« W czasie, gdy Szymon wyskoczywszy na brzég, zaczął z całéj mocy ciągnąć za uzdę konia, kapitan spiął go ostrogami; zmęczony koń zebrał ostatnie siły, a dostawszy tylnémi nogami gruntu, wyskoczył szczęśliwie z toni. Dopiéro za nadejściem wieczora, nadarzyła się kapitanowi sposobność obwiązania swojéj rany. Nazajutrz puścił się z swoim wiernym ułanem za kolumnami, które ku Wilnu dążyły.

W kilka niedziel dostali się późno w noc do rzéki, przez którą ich rzuconym mostem przeprawiono. Nie tracąc czasu, ruszyli daléj, by zdążyć do najbliższego miasta. Wkrótce zaszedł księżyc, a ciemne chmury zawisły nad ich głową. — »Ależto noc ciemna kapitanie, bierze jak ręką za oczy; niepodobna rozeznać drogi.«

»Puść się za faworytem, ten cię poprowadzi. Zdaje się, jakby mu dziś nowych sił przybyło, ani ustaje ani się potyka podemną; rzeczby można, że z rozkoszą oddycha tych okolic powietrzem.«

»Cóż mu?« zapytał Szymon.

»Czuję, że jesteśmy na innéj ziemi Szymonie!«

»Tak się i mnie coś ochapia; serce we mnie coraz mocniéj bije, śpiéwałbym i skakał z radości, gdybyś tylko pan kapitan nie był tak smutny!«

Na te słowa westchnął kapitan głęboko a Szymon nie śmiał mu przerwać milczenia. »Ach«, pomyślił sobie w duszy, »jakaż różnica między moim odjazdem a powrotem! Przedtém marzyłem o szczęściu i sławie, a teraz — nic mi nie pozostało, jak tylko ubóstwo i niedola! Co większa, nawet obraz owéj lubéj dziéwczyny, która śród bitew i wichrzącéj zamieci rossyjskiéj, ciągle przed mojémi stała oczyma, zmienił się dla mnie w przedmiot udręczenia od czasu przejścia przez Berezynę! Słodkie marzenia moje wzięły postać strasznéj rzeczywistości; już mnie tylko moja matka na myśli, która mnie nie opuści, i owszem jeszcze bardziéj kochać będzie! Ach, ileż ona dni i nocy w trwodze o życie moje przepędziła. Lecz o Boże! Zastanęż ją zdrową i przy życiu! Tyle już miesięcy upłynęło, a na żaden z moich listów, nie otrzymałem odpowiedzi!«

Szymon zaczął gwizdać—byłoto znakiem, że się nudzi.

»Nic-że nie widzisz?« zapytał kapitan; »ani drzew, ani domów, po którychbyś dwór pana G.... mógł poznać?«

Gdy Szymon otworzył oczy i obejrzał się w około, stanął faworyt jak wryty, i zarżał z radości, na co mu jakiś drugi koń wywzajemniając się, rżeniem odpowiedział.

»Wiémy, gdzie jesteśmy, to nam nasz faworyt powiada!« odrzekł szeregowiec.

Kapitan przyłożył rękę do serca i westchnął; nagle zrobiło mu się słabo. »A więc bądź zdrów poczciwy mój faworycie«, rzekł zsiadając z konia przy pomocy Szymona, już się więcéj podobno nie ujrzymy!«

»Pójdę złożyć ukłon od pana kapitana«, rzekł Szymon biorąc konia za tręzle, »i oznajmię właścicielowi tego dworu, że mu przyprowadzam z podziękowaniem faworyta, którego był łaskaw nam pożyczyć. Ale, ale; mamże mu także oświadczyć, że pan kapitan nie możesz mu osobiście złożyć swego uszanowania i zacnéj córce jego, gdyż spieszysz jak najprędzéj uściskać matkę swoję?«

W téj chwili blask światła zjaśnił okno i oświetlił twarz oficera. »Kapitanie przez Boga! Jesteś bardzo blady«, zawołał szeregowiec z rozrzewnieniem... »Ja cię nie odstąpię.«

»I owszem, idź śpieszno przyjacielu; ja zaczekam na ciebie na téj kamiennéj ławeczce.«

Żołniérz zastukał, otworzono natychmiast bramę, a Frańciszek stajenny, pojawił się na progu. Mało brakowało, że go faworyt na ziemię nie powalił, z takim pędem wyrwawszy się z rąk Szymona, poleciał prosto do stajni, gdzie zastawszy swego zastępcę, zaraz go jako intruza kąsać zaczął. Jednakże Frańciszek poskoczył za nim i zapobiégł nieporządkowi.

Chociaż już było późno w nocy, jeszcze w salonie pana G.... znajdowało się liczne towarzystwo. Szymon prowadzony przez małego żokeja z czarnémi oczyma, wszedł do sali.

Ale skoro szeregowiec pozdrowiwszy po wojskowemu, oznajmił panu G.... swoje zlecenie, naraz dał się słyszeć powszechny okrzyk radości. Każdy z obecnych schwycił za świécę ze stołu i gdzie jaka była; goście i domowi, wszyscy się wysypali ku bramie.

Kapitan owinięty płaszczem czekał pod domem powrotu Szymona, aż tu nagle około niego stanęło tyle świateł, że ciemną noc w dzień zamieniły, a pośród tego orszaku usłyszał wykrzyk, który mu serce przeniknął! Byłto głos najmilszy, głos jego matki!—Jakby snem zaczarowany, na pół omdlały, dał się Szczęsny prawie wnieść do sali, gdzie za pomocą doktora Guicharda przytomność odzyskał.

»Zacny kapitanie«, rzekł pan G.... wzruszony, »chciałeś mój dom pominąć, to okazuje, iż się nie spodziéwałeś zastać tu matki swojéj. Zniewoliliśmy ją prośbami naszémi dotąd u nas zamieszkać, aż pokąd z wyprawy nie wrócisz, i podług przyrzeczenia córce mojéj faworyta nie oddasz. Ale co się mnie tyczy, ja cię kapitanie w moim domu na zawsze zatrzymam, i sądzę, że do tego mam prawo zupełne, bom ci wdzięczność za ocalenie życia mego winien!« To rzekłszy staruszek, podał młodzieńcowi rękę.

Kapitan chciał powstać dla ujęcia ręki gospodarza, ale będąc osłabiony, spojrzeniem tylko oświadczył najżywsze uczucie wdzięczności swojéj za to, że mu sprawił tę niespodzianą przyjemność oglądania kochanéj matki. Jednakże nie śmiał podnieść oczu na Helenę, która za ojcem stojąc, wzrok swój w jego bladą twarz utkwiła.

Pani Ż.... ocierając łzy radości z oczu swoich, ociérała oraz pot z czoła syna swego.

»Biédny młody człowieku«, pomyślił sobie doktor w duchu, »ileż do twoich mąk cielesnych i udręczeń duszy się przyłącza! Ale będziem cię pielęgnować«, dodał na głos, »wyléczymy cię i uczynimy tak szczęśliwym, jak tego godzien jesteś!«

Tu kapitan rzucił z siebie płaszcz; pierś jego zdobił krzyż legii honorowéj, ale matka jęknęła okropnie z boleści, ujrzawszy syna o jedném tylko ramieniu! Utracił je w bitwie pod Berazyną. W okamgnieniu nastało głębokie, westchnieniem tylko przerywane milczenie, a gdy wojownik spokojnie podniósł głowę, stanęła Helena przy nim z téj strony, z któréj nie miał ramienia.

»Waleczny kapitanie, jestem twoją oblubienicą!« rzekła głosem drżącym podając mu rękę.

»*Brawo, brawo!* Niech żyją państwo młodzi!« zawołał doktor ze łzami w oczach; »*brawo*«, zawołali wszyscy obecni goście.

Z głębokiém uszanowaniem zwrócił się kapitan ku czcigodnéj dziewicy, a gorąca łza padła na rękę, którą mu podała. Pani Ż.... przycisnąwszy syna do piersi, skropiła twarz jego łzami radości.

»Jak widzę, wy chcecie mi zabić człowieka, któremu życie winienem«, zawołał pan G...., a postrzegłszy wzruszenie kapitana, przybliżył się do niego, i uściskał go serdecznie.

Wtém się drzwi otworzyły.

»Panie kapitanie«, rzekł Szymon wszedłszy do sali, »nasz dawny faworyt stoi już osiodłany i czeka na pana.«

»Mój przyjacielu«, odrzekł pan G...., »kapitan twój u nas zostanie, i spodziéwam się, że i ty go nie opuścisz.«

»Zgoda«, odrzekł Szymon, spojrzawszy na pannę i kapitana i domyśliwszy się o co chodzi. »Zgoda! niech Bóg szczęści!«—»Ja znam twego pana«, mówił mu żokej na ucho, prowadząc go do przedpokoju, »dał mi on talarka za to, żem mu przede drzwiami chyrurga, konia potrzymał, a wypadek z tym talarkiem wyjednał mi służbę u panny tego domu.«

»Oho! gdzie mój kapitan się pokaże, tam zaraz i szczęście z sobą przynosi«, rzekł Szymon, który widząc jak mu słudzy dworscy pochlébiają i nadskakują, zaczął im w odpłatę opowiadać wieloliczne przygody, jakich w różnych potyczkach był świadkiem, lub sam ich doznał.

* * *

We trzy miesiące późniéj, widziano przed domem pana G.... mnóstwo pojazdów, a w nich w szaty weselne ustrojonych gości, którzy z dziedzińca wyjeżdżali. Za powozem oblubienicy szły dwa, bogatym rzędem przyozdobione rumaki, które zwinny, w liberyję nowożeńców ustrojony żokej, wolnym lejcem prowadził. Gdy wszyscy weszli do kościoła, zbliżył się żokéj do głównych drzwi, które wprost ołtarza otworem stały, zdjął czapeczkę i ukląkłszy między dwoma wierzchowcami, złożył ręce i modlił się przez cały akt ślubu za pannę G.... i walecznego kapitana Ż....

Szymon stojąc pośrodku świątyni, pokręcając radośnie wąsa, poglądał dumnie po zgromadzeniu i zdawał się mówić: »jam się do tego szczęścia także cokolwiek przyłożył!«

## ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 3 i obejmuje: 1) Niektóre uwagi gospodarcze. 2) Zalecenie olejnéj rośliny (*lepidium sativum*), rzeżuchy ogrodowéj, wyki czarnéj i szparglu polowego dla okolic piaszczystych. (Dokończenie). 3) O tuczeniu źwiérząt domowych. 4) Pewny sposób pieczenia z białéj mąki smacznego i długo utrzymującego się w świeżości chleba. 5) Wiadomości czasowe.

Z Warszawy. Znany muzyk Józef Krogulski, od lat kilku sterujący muzyką religijną w kościele księży Pijarów (Tarnowianin, słynny czas długi pod imieniem Józia) zszedł z tego świata dnia 9go b. m. w niespełna 25tym roku życia. — W roku bież. 1842 wychodzą tu następujące pisma czasowe: 1) *Gazeta Rządowa*, obok w języku rossyjskim. 2) *Gazeta warszawska*. 3) *Korrespondent handlowy*, jako dodatek do Gazety warszawskiéj. 4) *Kuryjer Warszawski*. 5) *Gazeta codzienna*. 6) *Wiadomości handlowe i przemysłowe*, do Gazety codziennéj dołączone. 7) *Gazeta Powszechna*. 8) *Pamiętnik literacki*, jako dodatek do Gazety powszechnéj. 9) *Pamiętnik religijno-moralny*. 10) *Biblijoteka warszawska*. 11) *Pielgrzym*. 12) *Przegląd naukowy*. 13) *Jutrzenka*, obok w języku rossyjskim. 14) *Przegląd warszawski*. 15) *Nadwislanin*. 16) *Roczniki krytyczne*. 17) *Ziemianin*. 18) *Sylwan*. 19) *Pamiętnik towarzystwa lekarskiego warszawskiego*. 20) *Magazyn mód*. 21) *Le Glaneur de Varsovie*. Z powyższych 21 pism, 14 wychodziło już w przeszłym roku, a 7 jest zupełnie nowych. Nie policzone tu zostały wychodzące raz do roku także pisma peryjodyczne: *Pamiętnik sceny warszawskiéj*, rocznik religijny *Alleluja*, dwa Noworoczniki, Kalendarze i t. p.

Z Wilna: Do lepszych powieści należy powieść wiérszem pana Jezierskiego: *Kasztelan*, malująca z talentem sceny sejmu, uczty i t. p. rysy szlacheckie czasów dawniejszych. — *Rusałki* część piąta jest pod prasą. — Noworocznika *Linxmina* (tęcza po litewsku) wyszła część pierwsza a przysposabia się druga.—Nowo w świat beletryczny wstępujący powieścio-pisarz pan K. Bujnicki wydał *Wędrówki*. — *Stanica Hulajpolska Edwarda Tarszy* (Michała Grabowskiego), ta wyborna powieść obrazowa, pełna bogactw kolorytu i odcieni, pełna znajomości czasów drugiéj połowy XVIII. wieku i miejscowości ukraińskiéj, skończyła się już z tomem piątym. Byłto żart zapewne korespondenta w *Orędowniku*, że pan Grabowski znużony długością tego romansu, uprosił pana Kraszewskiego, by za niego tom piąty dorobił.

Z Poznania. Od nowego roku 1842 ma tu wychodzić nowe pismo techniczne, pod tytułem: *Postęp*, poświęcone rolnictwu wyższemu, przemysłowi, kupiectwu i dobroczynności powszechnéj. — Dr. Gąsiorowski, znany autor *Historyi sztuki lekarskiéj*, zamierza wydawać z rycinami *Żywoty sławnych lekarzy polskich*.

W Berlinie wydał Roman St. Kaulfuss rozprawę: *Die Slaven in den Alten Zeiten bis Samo 623, eine linguistisch-geographisch-historische Untersuchung*.

---

Najtrwalszy kit do spojenia porcelany lub śkła uzyskuje się z dużych ślimaków pożywnych, których się mnóstwo w niektórych okolicach znajduje. Ślimaki te na samym koniuszku ciała mają białawą galaretową cieczą napełniony pęcherzyk. Posmarowawszy tą cieczą choćby najtwardszą krawędź jakiego naczynia i przycisnąwszy ją do drugiéj, w krótkim czasie obie części te, tak się mocno ze sobą spoją, że już w tém samém miejscu ani śkło ani porcelana, choćby o kamień ciśnięta, nie pryśnie. Rozumie się, iż kit poprzednio wysuszyć należy.

Nowa kuracyja. Następujące zdarzenie zdaje się być niepodobném do prawdy, gdyby nie było potwierdzone przez osoby, którym wiarę dać można. — Niejaki Naudin, oberżysta w małéj włości Brot, ciérpiał na reumatyzm. Człowiek ten zasięgał przez długi czas rady od różnych szarlatanów, a gdy mu ci nie pomogli, żona i siostrzenica dla wyleczenia go użyły następującego sposobu: Rozebrały chorego do naga, okryły go liściem klonowym, obwiązały w około, a skończywszy tę zieloną toaletę, włożyły go w przestronny wór po samą szyję, aby mógł wolno ruszać

się i oddychać. Wszystko to odbyło się na chwil kilka, nim wydobyto chléb z pieca. Gdy się to stało, obie niewiasty nie tracąc ani chwili, wsadziły biédaka na deskę i wsunęły go w piec gorący! Po upływie kilku sekund nieszczęśliwy Naudin zaczął okropnie krzyczéć, i zaklinał żonę, aby go z téj piekielnéj antycypacyi wydobyła, ale daremny był krzyk jego. Te obie głupie niewiasty, stojąc u czeluści, patrzyły na skrzywioną twarz nieboraka, pocieszając go, że właśnie ten ból jest znakiem jego wyleczenia. Aż dopiéro wtedy, gdy postrzegły twarz zupełnie zczerniałą, z pieca go wyciągnęły. Jakże okropny stan był tego człowieka: jego tłuszcz roztopił się, co te niewiasty za wystąpienie potu miały; ogień strawił jego wnętrzności. By zaspokoić jego wielkie pragnienie, przyniosła siostrzenica ze studni cały skopiec wody i wylała ją na pół upieczonego wuja. Rzecz naturalna, że Naudin po kilku dniach śród najokropniejszych boleści skonał. Ale możnaż dać temu wiarę, aby pod pięknem niebem Francyi mieszkała jeszcze taka głupota!

Lord Byron. Toczył jedynie walkę z występkiem i próżnością ludzi, i te przywary ostro wyszydzał, ale na ich cierpienia, chociaż zasłużone, był litościwym i pobłażającym; nieszczęście było dla niego świętem i zdawało się być ostatniem ogniwem, które z ludźmi go łączyło. Pamiętam, opowiada lady Blessington, iż pewien człowiek mówił raz o nieszczęściu osoby, którą całe towarzystwo znało, a skreśliwszy je, dodał, że osoba ta nie zasługuje, aby się nad nią litowano, ponieważ je złem zachowaniem się, sama na siebie ściągnęła.—Nigdy nie zapomnę jaki wyraz przybrała wtedy twarz Byrona; jawnie widać było na niéj szlachetne oburzenie. Zwróciwszy się do tego nieczułego, który taki wyrok wydał, rzekł: »Jeżeli *** swem sprawowaniem się tak ciężkie ściągnął na siebie nieszczęście, jak wpan utrzymujesz, jest więc w dwójnasób politowania godzien; gdyż zgryzota sumienia jeszcze mu bardziej kielich życia zatruwa! Te osoby właśnie najwięcej politowania potrzebują, które z utratą sławy i poważania samego siebie, wszelkie prawo do litości utraciły. A przecież wygórowani moraliści nasi chcieliby im koniecznie odmówić politowania, by je dla tych zachować, których nieszczęście niezasłużenie dotknęło, a którzy już przeto samo, że ich wewnętrzne uczucie uspokaja, snadno bez litości drugich obejść się mogą. Nic tak człowieka nie demoralizuje, jak ta pewność, że już do spółuczucia bliźnich żadnego prawa nié ma. To przekonanie zrywa ostatni węzeł, który go jeszcze z ludzkością łączy, czyni go obojętnym na wszystko, i tamuje wszelką poprawę. Oto moja moralność«, rzekł Byron, »i dla tego lituję się nad winnym i mam szacunek dla nieszczęścia.«

Los wdowy w Indyjach. W *Madras - United-Service-Gazette* czytamy: Wdowa po jednym z najmajętniejszych braminów indyjskich spaliła się niedawno na stosie swego męża. Widowisko to ściągnęło trzy tysiące osób na miejsce, gdzie się ten akt odbywał. Wdowa ta postępowała spokojnie aż na plac, na którym stos wzniesiono. Przyszedłszy tam, zażądała, aby jéj wolno było na kolanach trzymać głowę męża. Poczém braminowie zapytali ją, czy ma szczerą chęć i dostateczną siłę do przyniesienia swemu małżonkowi téj ofiary. Gdy oświadczyła, że sobie tego życzy, przywiązano ją do słupa z obawy, aby w walce z bolem z płomieni ujść nie mogła; poczém stos zapalono. Raz tylko wydała ta nieszczęśliwa niewiasta przeraźliwy krzyk śród płomieni, i natychmiast ucichła. Dziennik angielski dodaje, że ten akt zabobonu spełniono w Julna, w kraju Bizamskim, za granicą posiadłości angielskich.

Bogactwo Rundszyt-Synga. Same tylko klingi kilku szabli tego indyjskiego władcy podają na 1000 funtów szterlingów, a złoto i drogie kamienie, któremi rękojeści i pochwy są wysadzane, wynoszą niemal pięć razy powyższą summę. Największem bogactwem jego był duży dyjament, zwany *Kohinour*, czyli góra światła. Jest on niezgrabnie szlifowany, w złoto oprawny, i ma być wart półtrzecia milijona funtów szterlingów.

Duma angielska. Kiedyżto biedny lud angielski doznawać będzie takich wygód, jakich doznają psy i konie lordów angielskich?—Pan Mahner sprzedał panu Dinon biegusa za 2,000 gwineów; koń ten zowie się *Ballinkeele*. Ileżto ubogich kobiét wyżywiłoby za tę kwotę swe dzieci! Gdy ten *Ballinkeele* padnie w piérwszéj gonitwie, mógłby który z Chartystów nad jego zgonem miéć mowę pogrzebową, na którąby się serce ludzkie krajało. »Biedny Tomasz-zięboniel« Zaiste, klasa robotników angielskich jestto król Lear.

Po salonach paryskich krążyły niedawno uwagi nad ożenieniem się Julijusza Janin z córką adwokata Huet. Oblubieniec ten na biletach zapraszających nie położył żadnego tytułu, nie wyraził nawet, że jest *homme de lettres*. Ożenienie to zabezpiecza mu tymczasowie niepodległą posadę, a na przyszłość majątek znaczny; skojarzyła go sama poezyja: panna Huet pisała, a Jules Janin poprawiał jéj dzieła. Miłość zakradła się w jego poprawki, równie jak u Heloizy, Franciszki Rymini, i Julii drugiego J. J. (Jean Jaques). Dnia 21go października odbył się ślub cywilny, Jules Janin, na którego dosyć długo czekano, przybył ostatni na ten obrzęd, a to pieszo, z parasolem i bez orderu. Burmistrz w przemowie swéj nazwał go książęciem poetów, i królem dowcipu. Dnia 23. października pobłogosławił kapłan związek pana Gabryjela Jules Janin z panną Franciszką Huet w bogato przyozdobionym i rzęsisto oświetlonym kościele, w którym karmazynowym, złotem haftowanym aksamitem wyścielone były krzesła i parkiety. Ksiądz proboszcz dawał oblubienicy zbawienną naukę, ale mowa jego do Julijusza Janin, zmiérzała więcej do literata niż do małżonka i Chrześcijanina. Oblubieniec w dzień ślubu miał na złotym łańcuszku u dziurki od guzika krzyż legii honorowéj i turecki order *Niszani-Iftihar;* wielkiego krzyża malutkiego państwa Lukki nie miał tą razą. Pani Janin jest przystojna, młoda mężatka, ma piękny grecki profil i spaniałą postać; ubrana była w biało-morowéj sukni z rękawami z brabanckich koronek: podczas aktu religijnego była całkiem spokojną. Jules Janin nie zdawał się z szczegółami obrzędu być obeznany, przynajmniéj z niejakiém pomieszaniem poglądał na swoję żonę i naśladował każde jéj poruszenie.

Szczególniejszy wykład napisu: *S(enatus P(opulus Q(ue) R(omanus.* Podczas wystawienia opery: *Belizaryjusz* w Lipsku, jeden z młodych kupców napuszonych majątkiem, zapytał drugiego, coby też znaczyły znajdujące się na chorągwiach postępujących w tryjumfie zgłoski: S. P. O. R. (poczytał ou Q za O.) »Osobliwsze pytanie«, odrzekł drugi z niejaką chełpliwością, »jestto nazwisko kompozytora, wszak tę operę Spohr napisał.«

***Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.***
**Drukiem Piotra Pillera.**

*(Dodatek nadzw.)*